



Bolesław Miciński

Portret Kanta

Bolesław Miciński

Portret Kanta



Fundacja Festina Lente

*Autorowi Essai sur les Limites de l'Espace et du
Temps ks. Augustynowi Jakubisiakowi poświęcam*

*Widzę co nocy bezdeń czarniawą
W górze nad nami,
Niebo ogromne z mgławic kurzawą,
Drżące gwiazdami*

*Strachem przejmuje dolina wieczna,
Czarny jar Boga,
W wichrze tworzenia rozwiana mleczna
Słoneczna droga.*

*Lecz przerażenie większe porywa
Gdy spojrzę w siebie –
Bezprawnych orbit spieniona grzywa
Jaźń mą kolebie.*

*Tam nie wirują mgławice, ziarna
Narodzin wielu,
Noc nieprzejrzana, bez dna i czarna —
Immanuelu!*

(Jarosław Iwaszkiewicz)

Le temps est illusion suprême. Il n'est que le prisme intérieur par lequel nous décomposons l'être et la vie, le mode sous lequel nous apercevons successivement ce qui est simultanément dans l'idée. L'oeil ne voit pas une sphère tout à la fois quoique la sphère existe tout à la fois; il faut bien que la sphère tourne devant l'oeil qui la regarde ou que l'oeil fasse le tour de la sphère contemplée. Dans le premier cas c'est le monde déroulant ou semblant se dérouler dans le temps, dans le second cas c'est notre pensée qui analyse et recompose successivement. Pour l'intelligence suprême il n'y a point de temps; ce qui sera EST.

(Henri-Frédéric Amiel)

I

Podział sztuk na „przestrzenne” i „czasowe” należy do ciekawszych rozdziałów historii estetyki. Ale to już historia. Żyje jeszcze w świeżej pamięci osiemnastowieczny wdzięk Abbé Dubos, pamięć przechowała zimne stronice Laokoona, podobne do płyt stalowych, na których ostry rylec Lessinga z precyzją kreślił antyczne linie. Tyle z tej teorii zostało w pamięci zwykłego przyjaciela sztuk. W istocie nie jest tak, jak myśleli Dubos czy Lessing. Podział sztuk na przestrzenne i czasowe jest jeśli nie fałszywy, to co najmniej chwiejny. Malowidło jest, zapewne, przestrzenne w sensie fizycznym, ale w przeżyciu wolno konstruujemy Rembrandta i w miarę upływających lat dostrzegamy coraz to nowe cienie na ramieniu Betsabe, podobnie jak w miarę lat upływających coraz to nowe zmarszczki rozpięte na ramie oczodołów łowią w swoją sieć gasnącą źrenicę i płowiejącą z wolna tęczę. W czasie ogarniamy przestrzeń kamiennego nieba, na którym Michał Anioł utrwalił dzieje tego świata: przeszłość i przyszłość. Teraźniejszość? Nie ma teraźniejszości – jest tylko pamięć i oczekiwanie. Tak ma się rzecz ze sztukami rzekomo przestrzennymi.

Mozart w listach swych pisze, że zdarzyło mu się słyszeć kompozycję „od razu” jak akord. Patrzył na rozwinięty pomysł muzyczny jak na obraz, jak na rzeźbę, którą można ogarnąć jednym spojrzeniem. Podobnie Gluck dostrzegł jeden ze swych utworów w formach przestrzennych: w rytmie

krzesel wywróconych do góry nogami na stolikach uspiionej oberży. Jeden z dawnych dobrych majstrów muzycznych, który w sztuce swej chciał odtworzyć mękę Chrystusa – przy wersecie 34 rozdziału dziewiętnastego według Jana – przeszył linie partytury rysunkiem muzycznych znaków, jakby włócznią, naśladowując żołnierza, który przebił bok Zbawiciela.

Nie ma sztuk „przestrzennych” i „czasowych” – zapewne. Ale nie można dłonią, którą kieruje lekkomyślność, przekreślić starego podziału. Sprawa jest bardziej skomplikowana: już w samej bowiem literaturze możemy odnaleźć formy i czasowe, i przestrzenne. Powieść psychologiczna uwikłana jest w czasie, jako że w „swoim”, „ludzkim” czasie uwikłana jest każda osobowość.

Jeśli rozumienie innego podmiotu polega na rozumieniu naszych własnych aktów psychicznych, jeśli ślepa monada ludzka, istota „bez okien”, nie może wykroczyć poza siebie, to jakże – związani czasem – możemy pojmować inaczej niż w czasie dzieje bohaterów Conrada? Skuci – jak przy jednym wiośle – z bohaterami powieści psychologicznej, żeglujemy po mrocznym oceanie osobowości i razem z nimi przekraczamy smugę cienia pod czarną ławicą chmur, pod zasepionym niebem, ponad szlakiem, który prowadzi w głąb ciemności, Wtłoczeni w wąskie ramy świadomości, bohaterowie powieści psychologicznej żyją w czasie – jak my.

Istnieją jednak formy literackie „sprowadzalne” niejako do przestrzeni. Formy, których nie trawi czas. Epika ujmuje człowieka „od zewnątrz”, po malarsku. Jest w postępowaniu epika, który lekką stopą przechodzi nad otchłanią osobowości, nieświadomość sił skłębionych w człowieku, ale jest w tym i pogarda, i pobłażliwość dla istot, „które piękne jak liście co się raz rozwiją, znowu jak liście zwiędłe padają i giną”. Z liści wiosennych, letnich, październikowych, epik zdziera barwy – z zieleni, czerwieni i złota lepi swój świat

niezmienny jak świat idei Platona. W tym świecie twarze ludzkie stężały są raz na zawsze w tym samym grymasie. To, co tworom epiki nadaje ruch, to zwykle następstwo zdarzeń, faktów uchwytnych od zewnątrz – jak obraz uchwytny w jednym spojrzeniu, jak fresk, w którym nie szukamy innej treści poza tą, która wyznacza układ brył i barw. Utwór epicki ożywiony jest ruchem jedynie w pierwszym czytaniu. Ciekawość tego, „co dalej” ożywia na chwilę malowidło: Odys buduje łódź... łódź spływa na morze... łódź morskie fale porze... fale biją w łódź... Leukotea w postaci morskiej kokoszy spływa na fale. Nasza ciekawość – co dalej – wprawia obrazy w ruch. Ale to ruch pozorny, podobny do ruchu postaci narysowanych na marginesie książki, której stronie spływają warko spod palców dziecka bawiącego się w kinematograf. Malarskiemu oglądowi epickiej całości przeszkadza wyłącznie ciekawość następstwa zdarzeń. Wystarczy raz jeden – w pierwszym czytaniu – zapoznać się z akcją, aby unieruchomić całą konstrukcję i przekształcić utwór literacki w malowidło.

Wszystko tu dane jest równocześnie: Hermes nad morzem fiołkowym zawisł w locie, podobny do rybitwy, która opór skrzydeł zrównała z siłą wiatru; Polifem nad urwiskiem ramiona odrzucił w tył – nieruchomy jak głaz, który ściska w żyłastych dłoniach, Polifem zmienia się w kamień, w rzeźbę. Wszystko nieruchome jest w tym świecie wyzwolonym z ciekawości czytelnika, który zna już dzieje wyprawy Hermesa i z precyzją, niemal według reguł balistyki, wyznaczyć może linię głazu zastygłego w dłoniach olbrzyma. „Podobna palmie Nausikaa” jest jak drzewo nie tknięte wiatrem. Uśmiech zastygł na jej twarzy. Skamieniały drzewa na wyspie Feaków i fale skamieniały, i Odys, po kolana pogrążony w kamiennej morskiej kąpieli – skamieniał. Epopeja raz przeczytana zmienia się w tekę grawiur, które rozrzucić i składać możemy

tak, aby niespokojny o los ojca Telemach znalazł się przy boku niespokojnego o losy syna Odysa. Dzieło epika podobne jest do tarczy Achilla, na której boski kowal utrwalił obraz świata: „niebo, ziemię, morze, słońce nieznużone, księżyc w pełni i znaki, które wieńczą niebo”. Jest na tej tarczy złota Pallada i Ares złoty, i spragnieni nad wodą, i trzody w złocie kute, i winnice, i złote skiby czarnoziemiu, i psy gończe, pasterze i płowe lwy, które znaczą swoje ślady w złotym mule wodnych rozlewisk. Obrzeżona strugą oceanu – jak obraz świata na rysunku dawnych kartografów – tarcza Achilla jest „Genezą” świata starożytnego: jest historią tworzenia. Tak z dłoni Stworzyciela wypadły drzewa, ptaki, płazy, konie, spienione rzeki, ciemne wody oceanu i historia. „Wiekuisty stworzył wszystko równocześnie” – mówi Eklezjasta. *Qui vivit in aeternum, creavit omnia simul*. Świat, jak tarcza wykuta przez Hefajsta, spadł z dłoni Stworzyciela „już gotów”, Bo jeśli prace kalekiego kowala widzimy w kolejności coraz to nowych, na powierzchni tarczy wyrastających kształtów, to tylko dlatego, że śledziły jego pracę niespokojne oczy Tetydy. Wąskie są ramy naszego spojrzenia i nieszerokie granice świadomej uwagi. Nie mogąc w szerokim spojrzeniu ująć wszystkiego od razu, nadajemy następstwo faktom: najpierw jest więc wiosna, potem lato, potem jesień. Ale na tarczy Achilla wiosna kwitnie obok dojrzałego lata, w chłodne dłonie zimy spadają owoce jesieni – z jej lodowatych rąk wyrastają dymiące kopuły kasztanów – spalone latem dłonie jesieni zbierają szorstkie orzechy. Jest to *circulus vitiosus*, jako że tarcza Achilla jest okrągła. W czasie uwikłani czytamy „Genezę” i dzień po dniu rozpatrujemy dzieje tworzenia, bo nie umiemy patrzeć na świat, który, jak niedojrzałe jabłko strącone wiatrem grzechu, wypadł z rąk Stworzyciela. Niedoskonałość naszego spojrzenia podsuwa świadomości pojęcie czasu i jego podziału. Dla nas jest

najpierw światło, potem zmacone wody, ziemia, drzewa i ptaki. Ale Wiekuisty stworzył wszystko jednocześnie.

Pod skąpym kręgiem światła naszej świadomości wiruje czarny dysk jakby płyta gramofonowa, na której raz na zawsze utrwalono historię – w łomocie kotłów, przy wrzasku miedzianych blach, przy jękach chóru. Wiruje czarna płyta jak ogromne niebo, jak gwiazdy, z których chcemy wyczytać przyszłość.

– Ach! Gdybyśmy wiedzieli „co dalej”! Gdybyśmy mogli wytyczyć przyszłe linie naszych dróg z tą pewnością, z jaką możemy wykreślić linie głazu, który trzyma w ręku ślepy olbrzym! Gdybyśmy mogli przeciąć nici ciekawości i niespokojnego oczekiwania, które każą tańczyć niepojętym marionetkom historii. Gdyby można było poznać jej „akcję” i sprowadzić ten utwór epicki do właściwych wymiarów. Gdyby można było spojrzeć na dzieje jak na tarczę, która miała uchronić Achilla od śmierci! Gdybyśmy mogli, jak genialny wizjoner z Patmos, spruć nici ciekawości i ujrzeć dzieje „od razu”, usłyszeć – jak Mozart swój kwartet, zobaczyć – jak Gluck zobaczył swoją muzykę. Gdybyśmy mogli wyzwolić się z naszego czasu, rozszerzyć w nieskończoność krąg wąskiej świadomości i wiedzieć: co dalej.

– Gdyby.

Nie niosłyby nas wartkie potoki niespokojnego czasu, moglibyśmy, sprowadziwszy dzieje do właściwych przestrzennych wymiarów, spacerować wzdłuż wielkiego fresku i rozpatrywać coraz to nowe fragmenty. Moglibyśmy, jak wizjoner z Patmos, mierzyć dzieje łokciem, łokciem

mierzyć świat i do skromnych, bo łokciem wymiernych form sprowadzić naszą dumę, pychę i szaleństwo.

Moglibyśmy „zwiedzać” przyszłość, tak jak się zwiedza kaplicę Sykstyńską i, oczu na sklepienie nie podnosząc, zwyczajem turystów pochylić się nad lustrem, aby w lustrze odbite śledzić dzieje tego świata, które na kamiennym niebie utrwalił Michał Anioł.

Jak ptak oślepiiony błyskiem zwierciadła świat opada w dłonie, które ściskają rękojeść lustra. Chwieją się w stężonym szklanym źródle obłoki, blaski, cienie. – Wali się z kamiennego nieba światło tworzenia, kurz dziejów, sadza świec niegasnących i ciepła krew jak świeże farby, które kapały na oczy Michała Anioła. Wystarczy lustro przechylić, a historia popłynie przez ręce potokiem twarzy, ruchów i skłębionych ciał. Wystarczy obrócić zwierciadłem, aby dostrzec...

...aby dostrzec wąskie plecy obleczone brunatnym sukniem, wątłe ramiona, biały harcap przewiązany czarną wstążką i w lustrze odbitą twarz: sklepienie czoła, oczy w sieci zmarszczek, cienki nos, zapadłe policzki i zwiędłe wargi – twarz Emanuela Kanta.

Lustro w mahoniowej oprawie wisi na białej ścianie skromnego salonu. Obok połyskują metalowe spirale barometru. Twarz spływa z lustra, pochyla się nad barometrem i gaśnie w przezroczystym szkłe, że ledwie można odczytać ciemne kontury oczodołów, nosa i ust.

Barometr mówi o mgłę i mgła płynie nad Królewcem. Poranna mgła kłębi się w skrętach wąskiej uliczki, czepia gałęzi i zaćmiewa szyby salonu. W zmętniałym świetle mającym za oknem drzewa nierzeczywiste – jakby dwuwymiarowe – podobne do zacieków brunatnej farby na wilgotnej jeszcze akwareli. Z głębi pokoju połyskują metalowe guziki liberii – Martin Lampe w białym kitlu

strzepuje kurz z kanapy, z foteli i przeciera szmatą oszkloną szafkę z porcelaną i srebrem. Stąd, z salonu, małe drzwi prowadzą do gabinetu: dwa stoły, sofa, kilka krzeseł, drewniany fotel z oparciem, portret Rousseau w złotej ramie i skrawek zielonej jedwabnej firanki nad oknem.

O piątej Lampe zapukał do drzwi sypialni: „Już czas” — powiedział podobny do anioła, który zeschłe ciała budzi w trumnie na sąd.

Teraz jest godzina siódma i Kant wypalił już fajkę. Potężne zwoje dymu wchłonęły lekki opar unoszący się nad filiżanką herbaty i rozpląnęły po mieszkaniu jak mgła nad Królewcem. — Przeszedł przez salon, pochylił nad splezłym lustrem, uderzył kościstym palcem w szkło barometru i stanął w drzwiach domu. Widzimy go takim, jakim opisał go Borowski: trójkątny kapelusz, pudrowana peruka, czarny kołnierz, koronkowy żabot, fraczek z brunatnego sukna podszyty jedwabiem, szare pończochy, pantofle z klamrami i szpada przy boku. Wąską aleją lipową Kant idzie w stronę Uniwersytetu na wykład.

Słabym głosem umiał narzucić ciszę i panował z katedry nad salą. Wlepiał spłowiałe oczy w twarz najbliższego słuchacza. Rzędy ławek, czoła, głowy wsparte na ramionach — oddalały się z wolna i rysowały na białych ścianach gmatwaniną linii i geometrycznych płaszczyzn jak na sztychu. Wpatrywał się uważnie w wybraną twarz, jakby chciał z niej wyczytać stopień uwagi i zrozumienia. Najdrobniejsza zmiana w postawie lub stroju mogła go wprowadzić w zmieszanie. Zdarzyło się, że dostrzegłszy brak guzika przy surducie studenta, przerwał wykład. Tak samo się zająknął i splątał myśli, gdy student guziki przyszył: „zechce pan odciąć guzik, od którego odwykłem” — poprosił nieśmiało.

Po wykładzie rozgrywał partię bilardu w cukierni. Bieg kul, posłusznych jak kula Galileusza, nie mącił poczucia

rzeczywistości. Była w tym ruchu symetria trapezów, trójkątów i kwadratów. Błyski kul na zielonej „euklidesowej” płaszczyźnie kreśliły linie dobrze znanych figur i toczyły się jak ciała niebieskie uwikłane w niezmiennie prawa. W drodze powrotnej, w lipowej alei, przesuwały się przed oczyma pnie drzew, zatarte kontury domów, twarze przechodniów zniekształcone w bocznym widzeniu, ukłony i ledwie zanotowane w świadomości uśmiechy.

W południe błękitne niebo wchłania mgłę. Czernieją cienie drzew na chodniku i w słońcu nad Królewcem ślepną szyby okien.

Przy obiedzie Kant olśniewa wdziękiem światowca starej daty. Inaczej go widzimy w południe: mniej w nim pedanta, dziwaka o zaburzonym poczuciu rzeczywistości, a więcej *charme'u* osiemnastowiecznego intelektualisty. Przy skromnie zastawionym stole, przy butelce wina, toczy się rozmowa „niefilozoficzna”: o polityce i geografii, o Lampem i Napoleonie, o Fryderyku, lingwistyce, frenologii i magnetyzmie. Piękne to były rozmowy z przyjaciółmi, niezapomniane godziny, których pamięć przekazali Rink, Wasiański, Borowski czy Jachmann! – Z czasem dopiero zaczął unikać rówieśników i otoczył się młodzieżą. Bo gdyby tak zabrakło *convive'a*. jak guzika przy surducie słuchacza?... Piękne to były rozmowy! Zdarzyło się, że Hippel wstał od stołu o ósmej wieczorem.

Ale to raz się tylko zdarzyło.

Po obiedzie jest spacer – zawsze samotny. W szarym surducie, z hiszpańską trzcinką, którą zastąpił później laską, Kant kroczy lipową aleją.

W lipcu 1789 skróciła przechadzkę Rewolucja Francuska. Innym razem zatrzymał się na chwilę i ostrym końcem okutej laski przewracał rozplaszczone na chodniku niezdarne i

nieopierzone jeszcze ciała jaskółcząt. Było to wczesną wiosną i już u schyłku życia. „Gdy zimno wyniszczyło owady – zwierzał się potem – dostrzegłem sporo jaskółczych piskląt na bruku. Zwróciłem oczy ku gniazdu i zrozumiałem, że matki same wyrzuciły część młodych, aby zachować pozostałe przy życiu. Na widok instynktu tak bliskiego inteligencji nie pozostało mi nic innego jak pochylić się w pokorze i wielbić.”

W drodze powrotnej, zamyślony, wiązał rozpierzchłe słowa: „...zorganizować zbiorowisko istot rozumnych – choćby to miały być demony... zorganizować, aby stano\viij społeczeństwo...”.

Sformułował tę myśl w gabinecie, w cieniu portretu Rousseau, o godzinie szóstej...

G l o s t e r

— *A kiedyż wzgórza tego szczyt osiągnę?*

E d g a r

— *Wspinamy się nań wciąż. Czy nie czujesz, jak ciężko iść nam?*

(Król Lear)

... o szóstej, z ćwiartką papieru w ręku, zagłębiony w fotelu na wprost okna Kant patrzy na ruiny zamku królewieckiego. Czerniała czerwień murów odbija od zblakłego nieba, po którym płyną bezradne białe obłoki. Na wzgórzu zamek wydaje się tym wyższy, że rosnące przed oknem topole sięgają szczytami wałów i wydłużają linie wież.

Z wolna gaśnie czerwień murów i zamek rozplywa się jak mgła. Rozwiewają się chmury, topole smukłe j ą coraz bardziej – wreszcie giną. Szarzeje zieleń firanek i zacierają się kontury mebli. Białe ściany gabinetu wchłaniają cienie i

kszałty. Jeszcze widać portret Rousseau zawieszony nad biurkiem. Teraz już i Rousseau zapada w tężejącą nicość. Gdyby Lampe uchylił drzwi gabinetu – oszalałby: nie ma ruin zamku królewieckiego, nie ma drzew za oknem, nie ma jedwabnej zielonej firanki, nie ma biurka, nie ma białych chudych rąk na poręczy drewnianego fotela, nie ma fotela, nie ma czasu, nie ma przestrzeni – „noc nieprzejrzana, bez dna i czarna”.

*...A kiedyż wzgórza tego szczyt osiągnę?
Wspinamy się nań wciąż. Czy nie czujesz,
jak ciężko iść nam?... Podejź, panie!
tutaj jest właśnie szczyt.
Nic nie mów! Jakże strasznie,
zawrotnie rzucać okiem w taką głębię...
...Dłużej już tam patrzeć nie mogę,
Bo mi w głowie się zakręci
i mrok na oczy padnie – i polecę wprost w przepaść.*

Z wolna wracają białe kościste dłonie i odnajdują dobrze znaną wygładzoną poręcz. Krzepną wrócone rzeczywistości kontury krzesel i stołów, zapala się krąg światła nad lichtarzem i tylko zawieszony nad biurkiem portret Rousseau ledwie dostrzegalny, bo zakryty potężnym profilem – cieniem głowy Emanuela Kanta. Blask świec odbity od ram portretu rozsypuje po ścianie złoty pył nad wysokim czołem.

Rozchwiany cień przesuwają się po ścianie i gaśnie w czarnym prostokącie okna. Wysoko, na kantowskim gwiazdzistym niebie, srebrzą się przez chwilę krople odległych światów, zanim je przesłoni jedwabna firanka. Ciemny profil płowieje na zielonym płótnie, oddala i pochyla nad książką.

Teraz jest godzina lektury.

Stronice dzieła holenderskiego myśliciela szeleszczą w białych, jakby papierowych, dłoniach: „owady, zamieszkujące czuprynę żebraka, zwykły nazywać swe domostwo globem olbrzymim, a siebie – arcydziełem stworzenia. Aż raz jeden z nich – jakby Fontenelle gatunku – Wskazując na głowę pewnego szlachcica rzekł wolnomyślicielom swego powiatu: nie same jesteśmy w naturze!... cała natura zamieszkała jest także przez wszy...”

Uśmiechnął się z zadowoleniem i zarysował margines książki ostrym, bladym paznokciem. „Większość ludzi rozmija się z celem życia – zanotował. – Trawić... rozmnażać się. Zwierzęta osiągają ten rezultat mniejszym kosztem.” Na cóż może się zdać krzywy, pokrecony pień drzewa? I dodał po chwili: „aus so krummen Holze, als woraus der Mensch gemacht ist, kann nichts gerades gezimmert werden”.

Wieczorna mgła płynie po szybach, przenika szczeliny okien i gęstnieje w fałdach firanki. Cienie płaczą się po ścianach, rozwiewają, krzyżują i ciemnieją. Cienie nasiakają złotem ram, zielenią jedwabiu i wiśniowym połyskiem biurka. Cienie suną po lśniącej posadzce, pełzną po ćwiartkach papieru, sięgają dłoni, obrzeżają ciemnym konturem suche palce, tężeją w oczodołach, leżą na zapadłych policzkach i znaczą czernią linię ust.

O dziesiątej Kant wchodzi do zimnej sypialni o wiecznie przesłoniętych oknach. Rozbiera się „według metody” i „według metody” starannie owija się w brunatną kołdrę jak w kokon. Za chwilę zaśnie. Wtedy z kokona wyfrunie ogromna ćma i chwiejnym lotem okrąży głowę.

Jutro Kant zapisze w notesie: „wystrzegać się złych snów”.

II

Niewielu chyba filozofów znalazło tylu biografów, a żaden z pewnością nie prowadził życia równie bezbarwnego i systematycznego. Pociągały zapewne historyków dzieje myśli, rozwój konstrukcji pojęciowej wydźwigniętej jak by *ex nihilo*, bo bez „modelu”, bez pierwowzoru w starożytności. Zapewne, ale musiało być i w życiu królewieckiego filozofa coś szczególnego, skoro wśród biografów Kanta odnajdujemy nazwisko de Quinceya, autora rozprawy o *Zbrodni jako sztuce pięknej*.

Życie Kanta jest strukturą: wydaje się być raczej dziełem przyrody niż człowieka. Jeśli jest jednak w tym żywocie coś, co kojarzy się z precyzją pajęczyny i kryształu, to skojarzenie takie oparte jest na powierzchniowej tylko analogii. Brak mu właśnie tej asymetrii, którą odnajdujemy w rysunku klonowego liścia i tak podobnym do klonowego liścia rysunku dłoni. Brak mu tej asymetrii, która różni lewą połowę twarzy od prawej – jest groza i spokój gipsowego odlewu pośmiertnej maski.

Sztuka – pisał z właściwą sobie pedanterią – różni się od natury podobnie jak czyn (facere) od działania w ogóle (agere), wytwór zaś, czyli skutek sztuki, ma się do natury jak dzieło (opus) do działania (effectus). Sztuką w istocie jest wyłącznie twórczość wolnej woli, która rozum bierze za zasadę działania. Bo choć sztuką zwykliśmy nazywać dzieła pszczół (prawidłowo ułożone płytki wosku), to mówimy tak tylko przez analogię i wystarczy uświadomić sobie, że praca pszczół nie na rozumnym przemyśleniu jest oparta, aby przyznać bez

wahania, że dzieło ich jest wytworem natury (instynktu)...

Kant stworzył swoje życie jak dzieło sztuki (*opus*), biorąc rozum i wolę za podstawę.

Nie bez słuszności szczycił się swym zdrowiem: „Z doświadczenia wiem – mawiał – że działanie umysłu jest lekarstwem, które ze skutkiem zwalczać może cierpienie ciała. Choć słaby z konstytucji i obciążony nieszczęsną skłonnością do hipochondrii, stałem się panem moich myśli i umiałem je odwrócić od bólów, które wypływały z wadliwej budowy klatki piersiowej, krępującej ruch serca i płuc.” Szczupły, niemal ułomny, o płaskiej piersi i nierównych ramionach, podobny był właśnie do krzywego drzewa, „z którego trudno zrobić coś prostego”. *Aus so krummen Holze als woraus der Mensch gemacht ist...*

Zdawał się być skazany na wieczne niedomaganie a potrafił przecież zachować niezmałone zdrowie i umiał nadać życiu formy proste, podobne z kształtu do rośliny rozpiętej na ścianie w ramach drewnianych krat i w sieci drutów. Wszystko było dokładnie odmierzone i przemyślane: godziny odpoczynku i pracy, ilość i jakość pokarmów, krój i barwa stroju. Schubert upewnia, że nie znał kobiety, która by umiała z równym co Kant znanstwem rozprawiać o tkaninach i koronkach. Wybredny był w doborze materiałów i lubił łączyć kolor żółty z brunatnym, powołując się na porządek przyrody, która zestawiała te barwy na uchu niedźwiedzia. Pończochy nosił białe lub szare, gdyż czarne wyszczuplały zbyt chude nogi i specjalnym systemem tasiemek zastąpił podwiązki, które utrudniały obieg krwi. Do obiadu zasiadał w kompanii, „posiłek w samotności nie służy zdrowiu człowieka nauki”. A że liczba współbiesiadników musiała wahać się między liczbą Gracji i Muz, rozmowy były pełne wdzięku i krzepiły

zdrowie. Tematy ciężkostrawne pomijano: nie wolno było mówić o filozofii i śmierci. „Niech zmarli spoczywają wśród zmarłych” – uciał, gdy wspomniano Hippla. „Teraz jest czas na metafizykę życia.” Więc pochylał bladą twarz nad kieliszkiem czerwonego wina i szeroko otwierał usta, aby wchłonąć jak najwięcej zmieszanego z winem tlenu. Taki napój miał wzmacniać siły i ożywiać aktywność żołądka. Nawet przy pracy nie opuszczała go troska o zdrowie: w gabinecie rozwieszał na krześle białą chustkę, aby przypominała o chwili odprężenia i ruchu. Na spacerze oddychał wolno i przez nos w obawie przed świeżym powiewem. Niezmienny porządek dnia oszczędzał wątłe siły i chronił wrażliwą strukturę psychiczną przed nieoczekiwaną wizytą, groźną dla spokoju wewnętrznego jak świeży powiew i mgła dla płuc. Związany szeregiem narzuconych sobie ograniczeń wegetował podobny do rośliny w sieci drutów: życie uczuciowe było skrępowane jak płuca i serce ugniecione klatką piersiową.

Upór, z jakim obstawał przy regulaminie życia codziennego, zdradzał osłabione poczucie rzeczywistości. Świat zewnętrzny był daleki, nieuchwytny i obcy. Zamknięty w kręgu pojęć żył pamięcią i oczekiwaniem. Teraźniejszość, jeśli jej z góry nie przewidział, była intruzem i stawała w drzwiach gabinetu jak nieoczekiwany gość, jak anioł śmierci, który drwi z czasu. Żył czasem „wewnętrznym”, który z ciemnych źródeł pamięci płynął niepewny i chwiejny jak pamięć. Jak rwący strumień – czas porywał strzępki wspomnień, z szumem opływał potężne przesła pojęciowych konstrukcji i w krętych wirach unosił cały świat: gałązki topoli, połyski szyb, czerwień murów, spelzły błękit, obłoki, cienie i twarze. Jak poryw wiatru – czas szeleścił w kartkach ściennego kalendarza, zdzierał ćwiartki papieru ze stołu i powiewał zieloną firanką. Twarze przechodniów z lipowej

alei i uściśnięte z roztargnieniem dłonie płynęły przez pamięć podobne do liści na wietrze.

Rzeczywistość przeciekała mu przez palce jak mgła i pienił się gniewny strumień czasu. Więc żył jak zegar i żeby wzmocnić zachwiane poczucie rzeczywistości, narzucił sobie i swemu światu punktualność świtu, południa i zmroku. Strzegł porządku dnia z uporem i despotyzmem. Nie lubił wizyt nieproszonych, wybuchów śmiechu, łez i muzyki, która „niepożądana odwiedza sąsiadów”.

A muzyka nawiedzała go nazbyt często. Pogodził się z codziennym przemarszem królewieckiego garnizonu i polubił z czasem wrzask wojskowej orkiestry. Zdarzyło się nawet – jak wieść niesie – że zapłakał przy trelach słowika. Ale gniewał go śpiew więźniów, z którymi (niestety) sąsiedował... „Ci którzy zalecili śpiew przy codziennych obrządkach religijnych – tłumaczył nadąsany burmistrzowi – nie zastanowili się nad tym, że hałaśliwe dewocje niepokoją sąsiadów, którzy muszą przerwać rozmyślenia, jeśli sami nieskłoni są do śpiewów.” Zgodnie z życzeniem filozofa zamknięto więc okna więzienia; zduszony śpiew kłębił się w wilgotnych korytarzach i celach.

Kant – mówił Heine – podobny był do zegara z wieży królewieckiej: beznamiętny i dokładny.

Zdarzały się co prawda i nieprzewidziane rozrywki: proszony obiad, przewlekła partia wista, spacer bryczką barona M. czy odwiedziny znakomitego cudzoziemca. Bywało też, że po spacerze odwiedzał Greena, angielskiego kupca. A że przypadało to na czas poobiedniej drzemki gospodarza, wchodził na palcach, zagłębiał się w fotelu i zasypiał. Po chwili zasypiał obok i Ruffman, dyrektor banku królewieckiego i stały bywalec domu. Dobre sny wylatywały z homeryckiego piekła bramą z kości słoniowej i płynęły pod przymkniętymi powiekami uśpionych przyjaciół.

*Takie były zabawy spory w one lata
...kiedy reszta świata
We łzach i krwi tonęła; gdy ów mąż, bóg wojny,
Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych
Od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych...*

Mąciły więc czasem sen echa dalekich wystrzałów, a jeśli drzemka przypadała na czwartek...

...W czwartki radca Otto Hoffmann, zwykł był odwiedzać przyjaciół i mały Ernest Teodor, już wtedy znudzony monotonią życia, wymykał się z domu. W sędziowskiej peruce, w czarnej todze i z violą da gamba przewieszoną przez ramię, biegł przez gazon przed domem. Drobnny, cherlawy, podobny był do karzełka. Rozwiewały się na wietrze nici peruki i czarne skrzydła togi. Jak ranny ptak polatywał nad gazonem, rozrzucając jaskrawe cienie. Byleby dopaść zielonych gąszczów: mały Hippel pomykał z fletem wzdłuż płotu. Werner, Matuszewski i inni ściskali pod pachą skrzypce, a każdy w ojcowskiej peruce i w todze. W zielonym gąszczu rozwiewały się poły uroczystych mundurów, połyskiwały smyczki i wiolonczele:

*Ta ra ta ta ta ta - tam!
Ta ra ta ta ta ta - tam!*

Hoffmann dyrygował i końcem rozedrganego rytmem smyczka ścinał liście bzu, które padały na twarze i ręce muzykantów.

Ta ra ta ta ta ta ta – tam. *Eine kleine Nachtmusik!* Szarżowali ostro od pierwszych taktów: białe peruki zsuwały się na tył głowy odsłaniając rude szczeciny krótko

strzyżonych włosów, piegowate dłonie wyrostków ślizgały się po strunach i poplamione atramentem palce bębniły po czarnych gryfach. Gładko, jednym tchem przeszli w andante, zabrzączało kilka stłumionych taktów, muzyka przygasła na chwilę i znów wybuchła radosnym zgiełkiem:

Ta ra ta ta ta ta - tam!

Ta ra ta ta ta ta - tam!

„...jest w muzyce pewna nieobyczajność, która wynika już z natury samych instrumentów – przedkładał Kant towarzyszom. Często niepożądana odwiedza sąsiadów i mąci spokój tych, którzy nie należą do zespołów muzycznych. Wolne są od tej wady sztuki, które cieszą oko... porównywałbym muzykę do woni... ten, który wyciąga z kieszeni uperfumowaną chustkę, nie pyta sąsiadów i narzuca im uciechę, której uniknąć nie mogą, jeśli chcą oddychać. Toteż zwyczaj ten wyszedł już z mody.”

Muzyka buchała z zielonej gęstwiny, drżały liście bzu i grzmiały smyczki w zgodnym tutti.

Ta ra ta ta ta ta - tam!

Tam - tarra - ta - tam!

III

... **O** godzinie szóstej, z ćwiartką papieru w ręku, zagłębiony w fotelu na wprost okna...

...Wzniosłą nazywamy wielkość bezwzględna – pisał. Być wszelako czymś wielkim, a być wielkością – oto dwa różne pojęcia (magnitudo i quantitas). Tak samo rzec po prostu (simpliciter) o czymś, że jest wielkie, to zgoła co innego niż powiedzieć: wielkie bezwzględnie (absolute non comparative magnum). To ostatnie bowiem oznacza wielkość, której już z niczym porównać się nie da.

...Wysokość drzewa, oceniona wedle wzrostu człowieka, służyć może od biedy jako skala, według której moglibyśmy z kolei ocenić wysokość góry; gdyby ta zaś na milę była wysoka, mogłaby nam służyć jako jednostka dla liczby, wyrażającej średnicę ziemi, by ją przedstawić poglądowo. Średnica ziemi mogłaby znów być zastosowaną do znanego nam systemu planetarnego – system planetarny zaś do drogi mlecznej; niezliczona ilość mlecznych dróg w podobny, jak się zdaje, związanych systemat, nie pozwala nam już oczekiwać jakichkolwiek granic. Owóż wzniosłość, gdy chodzi o sąd estetyczny tak niezmiernej całości dotyczący, leży nie w wielkości liczby, lecz w tym, że postępując wciąż naprzód, do coraz to większych docieramy jednostek; przyczynia się do tego systematyczny podział świata, który wszystko co wielkie w przyrodzie jako małe nam z kolei ukazuje, a w szczególności naszą wyobraźnię wraz z nią i natura maleje wobec wielkości idei rozumu.

...Zuchwałę, groźnie spiętrzone urwiska, chmury po niebie płynące wśród błyskawic i trzasku, wulkany rozpetane w całej swej mocy, huragany, które zniszczenie wloką za sobą, bezgraniczny, wezbrany ocean czy spadek rzeki potężnej – .sprowadzają do nikłych rozmiarów naszą zdolność wyobrażenia w zestawieniu z ich potęgą. Widok ich tym bardziej jest pociągający im bardziej groźny. Słusznie tedy nazywamy te zjawiska wzniosłymi — wznoszą one bowiem siłę ducha ponad zwykły poziom i każą nam w sobie samym odnaleźć zdolność i odwagę, która pozwala zmierzyć się z pozorną potęgą natury... i tym samym odślaniają nam ukrytą w umyśle naszą wyższość nad przyrodą.

...Widać stąd, że nieściśle się wyrażamy wzniosłym, mieniając jakikolwiek bądź przedmiot natury... co najwyżej rzec można,

iz przedmiot ów przedstawia może wielkość, którą odnaleźć można jedynie w umyśle, gdyż wzniosłość prawdziwa nie może być w żadnej postrzegalnej formie zawarta i tkwi wyłącznie w pojęciach rozumu...

Wobec przyrody, nieograniczonej w swej przestrzeni i mocy, człowiek poznaje własną małość – i odnajduje równocześnie swoją wyższość: wznosi się nad niebo wygwieżdżone, nad morze szerokie i słone, nad górskie grzebienie, po których pełzną szare, postrzępione mgły. Człowiek niesie w sobie idee Boga, nieśmiertelności, Sądu Ostatecznego: w ich blasku gasną gwiazdy jak zdmuchnięte świece, zwijają się konstelacje jak źdźbła trawy podciętej płomieniem – szum morza ledwie uchwytny, grzebienie gór tak małe, że można je nakryć kościstą suchą dłonią. Ten przewyciężony, pod nogi człowieka zepchnięty świat przypomina pejzaż, przed którym Szekspir postawił ślepcę.

PUSTE POLE W OKOLICACH DOWRU:

G l o s t e r

— A kiedyż wzgórza tego szczyt osiągnę?

E d g a r

Wspinamy się nań wciąż. Czy nie czujesz, jak ciężko iść nam?

G l o s t e r

— Mnie grunt zda się równym.

E d g a r

— Okropnie stromo. Słuchaj! Słysząc morze.

G l o s t e r

— Ja nic nie słyszę.

E d g a r

— Podejdź panie! – tutaj

jest Właśnie szczyt. Nic nie mów! Jakże strasznie zawrotnie rzucać okiem w taką głębię.

Gawrony, kawki, które w pół powietrznej drogi skrzydłami biją, nie są większe

*stąd niżli bąki. Tam —w połowie skały
ktoś, zbierający skalny chwast, zawisnął —
straszliwy zawód! — zda mi się nie większy
od własnej głowy. Na wybrzeżu morskim
rybacy stąd wydają się jak myszy,
a tamten smukły na kotwicy statek
w rozmiary zmałał własnej łodzi, łódź zaś
w pływaka, prawie już niewidocznego.
Szumiący przyptływ, co na niezliczonych
bezpłodnych żwirach tłucze się, nie może
dojść rykiem tutaj... Dłużej już tam patrzeć
nie mogę, bo mi w głowie się zakręci
i mrok na oczy padnie — i polecę
wprost w przepaść.*

Jeśli Kant znał Króla Leara, musiał w ostatnich latach swego życia pochylać się nad nierzeczywistą przepaścią, którą ślepyimi oczami oglądał Gloster

*nabądź gdzieś szklane oczy i, jak czynią
spod ciemnej gwiazdy politycy, zdaj się
to widzieć, czego nie dostrzegasz.*

Zagłębiony w fotelu na wprost okna miał przed sobą ruiny zamku królewieckiego, topole i zblakłe niebo:

Ograniczony obraz przyrody zamknięty w prostokącie okna jak pejzaż w ramie. Jakże więc mógł rozszerzyć granice wyobraźni i wyzwolić w sobie wzniosłość idei rozumu? Na próżno męczył pamięć i ubogą wyobraźnię. Były bezradne. Pamięć tyle tylko mogła wyobraźni użyczyć, ile wchłonęła w godzinach poobiednich spacerów: pnie drzew z lipowej alei, zatarte kontury domów i twarze przechodniów. Przymykał szkliste oczy; wtedy pod powiekami rysowały się ramy okienne, kontury stołu, krzeseł i na tle dogasających

spozrzezeń, w tle jedwabnej firanki, jak w wodzie zielonej, przepływały plamy podobne do cieni ryb w morskiej głębi. Wynurzały się uparcie z pamięci sztychy, ilustracje i stronic przyrodniczych atlasów – schematyczne rysunki morskich tworów i geometryczne szkielety ryb przekształcały się oczom przymkniętym w skrzyżowanie ramy okiennej. I znów miał przed sobą skrawek firanki, ruiny zamku i zblakłe niebo. Wertował pamięć jak słownik i z form dobrze znanych jak z klocków usiłował odtworzyć w wyobraźni „zuchwałę, groźnie spiętrzone urwiska, wulkany rozpętane w całej mocy niszczącej, bezgraniczny, wezbrany ocean”...

Niezmierzony ocean pamięci (*absolute non comparative magnum*) wyrzucał na brzeg świadomości szczątki przygasłych wspomnień – zawsze te same. Pod przymkniętymi powiekami rozrastały się błękitne i złote obręcze. W świetlistych kręgach jakby w pianie skąpane chwiały się gałęzie z lipowej alei, liście, dłonie i twarze. Płynęły mury królewieckich domów, dachówki powleczone sadzą, kominy w kłębach dymu i okna. Rozwiewał się z wolna dym i rozjaśniały wapnem powleczone ściany – w spękany tynku szyby zdawały się przedłużać refleksy światła i rysy w promienie ogromnej pajęczyny. Wyobrażenia, podobne do mgławicy, krążyły wokół ośrodka ciężenia: cienie skupiały się w jamy oczodołów, w zapadłe policzki i układały się w wąską linię ust. Z odległych brzegów, z „nieeuklidesowej” przestrzeni wyłaniał się zarys oczu w sieci zmarszczek, sklepione czoło i zwiędłe wargi.

Jak muszlę przykładając do ucha wielkie tomy *in octo* i *in quarto*, aby z nich jak z muszli wysłuchać grzmiący przypływ dalekich wód, zatrząskiwał okiennice pokoju sypialnego, aby uciec przed niebem: palcem na mapie wodził po górach nie większych od gąsienicy. Nosił w sobie ideę Boga – w jej blasku gasło niebo nad Królewcem. Nosił w sobie ideę

nieśmiertelności i mógł nakryć dłonią ocean. Ale nie znał Boga, jak nie znał nieba, nie znał nieśmiertelności, jak nie znał morza i nie znał grozy sądu ostatecznego. Góry rozpełzały się na mapie i niebo gasło za oknem i morze „płynne zwierciadło obrzeżone niebem”. Znał tylko postulaty moralności: Bóg był postulatem, nieśmiertelność była postulatem i postulatem był dramat sprawiedliwości w dolinie Jozafata. Był sam, a „niewiele jest w człowieku dobrego... *homo homini nora Deus sed diabolus*”. Więc jak Gloster pochylony nad przepaścią, której nie było:

*Potęźni wy bogowie!
Wyrzekam się w obliczu waszym świata,
cierpliwie zrzucam z siebie niedolę,
bo gdybym mógł ją dłużej nieść, a z waszą
nie popaść w spór, potężną, nieznoszącą
oporu wolą, to jestestwa mego
obrzydła, spalna cząstka sama by się
spaliła.*

Sam został ze śmiercią, która go osaczała: „życie jest dla mnie ciężarem, znużony jestem dźwiganiem i gdyby mnie anioł śmierci wezwał tej nocy, wznosząc ręce i z głębi serca – niech Bogu będą dzięki – powiedziałbym. Nie jestem tchórzem i dość mam siły, żeby skończyć z sobą, ale byłoby to przeciwne moralności”. Śmierć go osaczała. Anioł śmierci stał w drzwiach jak stary Lampe: „już czas”. I czas toczył się nad Królewcem.

Czas toczył się nad Królewcem i budził go pianiem koguta z sąsiedztwa. Chciał odkupić koguta – sąsiad odmówił. „Ach, pan ma uszy zwyczajne – westchnął – ja mam słuch metafizyczny.” W porannej mgle, w strugach deszczu, kogut łopotał czarnymi skrzydłami: już czas, już czas!

...o godzinie szóstej zagłębiony w fotelu rozpinał jeszcze

na szybach gabinetu symetryczną sieć pojęć. W pajęczynie kategorii i form, jak w kuli szklanej odbite, wydłużały się linie wież na zblakłym niebie i chwiały bezradnie obłoki. Ale kogut łopotał skrzydłami – już czas – i niepokoił go rozrost drzew za oknem. Smukłe pnie, jakby ogromne wskazówki słonecznego zegara, rzucały cień na szyby gabinetu: już czas!

Ścięto więc topole, aby uratować zachwiane i na długoletnim nawyku oparte poczucie rzeczywistości filozofa. Ta egzekucja przyrody zgodna była z orzeczeniem rady miasta i z wolą Kanta, jako że „człowiek rozmawia z przyrodą jak sędzia z podsądnym”. Była w tym wyroku potrzeba uratowania całego systemu, który chciał, żeby kula stoczona przez Galileusza biegła po równi pochyłej z tą szybkością, jaką jej Galileusz wyznaczył. Była w tym geście słabość podobna do tej, która perskiemu despocie kazała chłostać morze po przegranej bitwie.

Zagłębiany w fotelu mógł znów patrzeć na ruiny zamku królewieckiego, na obłoki i blade niebo. Ale pajęczyna rozpięta na szybie nie łowiła już cieni i blasków – była pusta. Gdyby Lampę uchylił drzwi gabinetu, zastałby wszystko na miejscu; jedwabną firankę, biurko, profil na ścianie, portret Rousseau, wysokie oparcie fotela i białe ręce na wygładzonej drewnianej poręczy. Już nie panował nad rzeczywistością. Za oknem rudziały pnie ściętych drzew i na tle żółtego o zachodzie nieba sterczało tylko kilka zardzewiałych liści bluszczu. Posrebrzone wrześniowym przymrozkiem liście były sztywne jakby wycięte z blachy.

Na próżno usiłował szczepić ostatnie wiązanie pojęć. „Męki Tantala” – zanotował 21 września 1798 roku i zniechęcony odsunął rękopis zaczętej pracy, w której chciał wytyczyć przejście od zasad metafizyki do nauk przyrodniczych. Na tle żółtego nieba zarysował się czarny profil, zawisł na skrzyżowaniu ramy okiennej. Głowa zapadła

w ramiona, kościste łokcie i koronkowe manszety podobne były do wystrzępionych skrzydeł.

Tragedia Ikar – tłumaczył Max Scheler – w tym leży, że im bliżej był Ikar słońca, tym bardziej topniały woskowe skrzydła.

IV

E d g a r

— Więc twe inne zmysły wraz z klęską oczu słabną? O, treść poważna z nedorzecznością zmieszana! Rozum tkwi w tym szale jednak!

Z wolna odchodziła go pamięć i bielmo przesłoniło lewe oko. Na próżno pochylał się nad wygasłym źródłem pamięci – w nikłej zamulonej strudze trzepotały się strzępki wyobrażeń: czerwień murów, obłoki, rami okienne i skrawek zielonej firanki. Pocieszał się (nie bez słuszności) wzmożoną sprawnością drugiego oka, ale szedł już niepewnie. Wpół odwrócony przezornie chronił prawe ramię jak złamane skrzydło. Podobny do rysunków egipskich sunął aleją lipową płaski jak własny cień. Jesienny blask złocił zeschnięty profil. Po lewej ręce była ciemność, w błękitnych cieniach tonęła skroń i czerwieniły obwódki powiek przymkniętych nad zgasłym okiem. W kalekim spojrzeniu pole widzenia zwęziło się jak księżyc w pierwszej kwadrze: w wąskim sierpnie światła czerniły się gałęzie i trzepotały żółte listki. Obojętny i osowiały mijał dobrze znajome drzewa i domy. W mieszczańskich ogródkach bluszcz wspinał się po ceglanych ścianach i w ciemnej zieleni, stłumione rozrostem bluszczu,

krwawiły się schnące róże. Na grządkach dojrzewały dynie, dalej szamotały się w spalonej trawie wydzierając z ziemi pękate korzenie i słoneczniki przewieszały ciężkie głowy przez sztachety. W okrągłych tarczach odsłoniły się już kręgi dojrziałych ziaren i złoty kurz sypał się pomiędzy cienie sztachet skrzyżowane pod nogami przechodnia. Na drżących nogach szedł po kracie z czerni i złota, znudzony i smutny. „Piękne to bardzo... i zieleń i kwiaty, ale zawsze to samo... to samo...” W oczekiwaniu wielkiej przemiany zbrzydził sobie niezmienną kolej przyrody. „To samo... zawsze to samo” – powtórzył na wiosnę roku 1802. Bez żalu żegnał swój świat: „Dlaczegoż to wzbraniam się ustąpić miejsca nowemu światu, który nadchodzi i po co wlec wśród prywatności żywot słabowity i ponad wszelką miarę długi? Po cóż przykładem swym wprowadzać zamieszanie do wykresów śmiertelności... od siły woli uzależniać to, co dotąd zwało się losem?” Zapisał tę myśl jakby nie gęsie pióro trzymał w dłoni, ale rylce Marka Aureliusza. Bez żalu żegnał świat i zdawało się, że czekał tylko okazji, aby „ustąpić”.

Zdarzyło się kiedyś na przechadzce, że upadł. Dwie damy, które mijał właśnie, pomogły mu wstać. Jakież może być niebezpieczeństwo przy upadku tak lekkiego ciała? – pocieszał żartobliwie stroskane panie i uprzejmie odsunął życzliwe ramiona. Z czerwoną różą w zeschniętej dłoni podobny był do strawionego czasem posągu Arnobiusza, przed którym Condillac na próżno powiewał krwistą różą, aby obudzić życie w miedzianej czaszce. Wsparty na lasce zamyślił się głęboko, jakby miał powziąć ważną, ostateczną decyzję i po chwili gestem pełnym staroświeckiej elegancji wręczył różę jednej z dam. I tak rozstał się z przeszłością. Zostało tylko oczekiwanie.

Rok 1803 zastał go smutnym i znużonym: „...być jedną nogą tutaj a drugą w wieczności, to tak, jakby się było

aniołem z Koranu, którego jedna brew oddalona jest o 8000 mil od drugiej” – skarżył się. W ciągu dnia drzemał na fotelu, a wieczorem gdy prowadzono go do łóżka: „ach, panowie – wzdychał – młodzi jesteście i silni. Widzicie moją nędzę... gdy dożyjecie moich lat, słabi będziecie jak ja... Mówi Biblia: życie ludzkie trwa lat siedemdziesiąt najwyżej, a i to co w życiu najlepsze jest tylko zmęczeniem i pracą”. Noce miał niespokojne i nawiedzały go złe sny! Złe sny wylatywały z Homeryckiego piekła bramą z rogu, podobne do nietoperzy. W sypialni o wiecznie zamkniętych okiennicach powiewały błoniaste skrzydła i świeciły okrągłe rubinowe oczy. Budził się przerażony i znów zasypiał. W strudzonej wyobraźni – jak liście na wietrze – płynęły obrazy poplamione krwią, jakby stronice wydarte z *Króla Leara*. Śmiał się o świcie, pokpiwał z nocnych widziadeł i zapisywał w dzienniczku: „Wystrzegać się złych snów”. Niestety, wracały uporczywie wieczorem. W nocy osłabione hamulce psychiczne nie panowały nad wyobraźnią – za dnia zawodziła strudzona pamięć. Umiał co prawda recytować bezbłędnie – mechanicznie – tablice logarytmów Keplera, ale płątał się już w najprostszych rachunkach i brakło mu nieraz słów codziennego użytku. Przy obiedzie powtarzał w kółko te same anegdoty i tak zamiast ubawiać, zasmucał współbiesiadników obrazem umysłowego niedołęstwa. Na próżno, zawsze pedantyczny, spisywał na ćwiartkach papieru uciężne dykteryjki o Lampem, Napoleonie i Fryderyku – notatki wymykały się z drżących dłoni, jękał się, zamyślał i gubił wątek. Wreszcie – „macie ot, panowie, przed sobą bezsilnego starca” – mówił i zapadał w milczenie. Wyczerpana pamięć wyrzucała już tylko odpadki: strzępki ludowych melodii zasłyszanych w dzieciństwie i resztki szkolnej łaciny. Ze szczególnym uporem wracały pierwsze słowa bajki z uczniowskich wypisów: *Rusticus senex cum adpropinguantem mortem sentiret...* Nie pamiętał

dalszego ciągu, więc recytował na wspak: *sentiret, mortem, adpropinquantem, cum, senex*. Potem kojarzył już bez sensu: *forceps* – krowa, *rusticus* – wąsy, *nebulo* – to Ty.

W miarę gasnącej pamięci rozluźniało się poczucie jedności psychicznej, zaćmiewała świadomość i czas biegł coraz szybciej. *Eheu... fugaces... fugaces...* Słowa uciekały i dni uciekały, że nadażyć już nie mógł w pogoni. Płynęły dni jak stronice wertowanej w pośpiechu książki, której koniec przeziera z daleka. Gdy filiżanka czarnej kawy rozjaśniała świadomość, zamyślał się nad bliskim rozwiązaniem zawikłanej akcji: co dalej? Nie wiedział, co sądzić o życiu przyszłym. „Nic, albo nic pewnego” – zwierzył się jednemu z przyjaciół. A że świadomość rozjaśniała się coraz rzadziej, coraz to częściej i natarczywiej domagał się kawy. Napierał się jak dziecko i prosił składając ręce. Witał dymiący imbryk okrzykiem marynarzy Kolumba: „Ziemia! ziemia!” Zdawało mu się, że na czarnej powierzchni oceanu dostrzega zarys łodzi Charona i bielejący żagiel – znak nadziei. Pochylony nad filiżanką widział już odległe kontury drugiego brzegu.

Zdarzyło się, że zasnął w fotelu. Płomyk świecy zapalonej o wczesnym mroku rozwiewał się jeszcze w żółtym blasku, który płynął przez szyby i w brunatnych cieniach połyskiwała ciemnowiśniowa politura krzeseł. Z wolna mrok gęstniał w kątach gabinetu – w dogasającym świetle zimowego słońca ostrzej rysowało się nad lichtarzem złote koło. Blask świecy odbity od ram portretu Rousseau rozsypywał po ścianie świetlisty pył obrzeżając czarny profil.

Cień zachwiał się, przesłonił na chwilę światło – i zapłonął. Oto głowa opadła na piersi, pochyliła się nad stołem i płomyk świecy liznął bawełnianą szlafmycę. W nikłym płomyku, w swądzie spalonej bawełny płonął świat: płonęły drzewa, morza, góry. Pożar obejmował niebo gwiazdziste i szerniało od dymu gwiazdy, jak ptaki krążące nad płonącym

domem, opadały w ogień i noc. Ogień ogarniał gmach wzniesiony z takim trudem: Trzeszczały potężne wiązania pojęć – osmalone, żarem strawione więzie kategorii waliły się z hukiem – zapadały. W czerwieni i złocie, w burych skrętach dymu opuszczał dom, samotny i wygnany jak Król Lear.

*Szalejcie wiatry, dmijcie, aż policzki
wam pękną! Dmijcie!
Wy płomienie z siarki
co ćmicie myśli, gońce gromów, które
dąb łupią w drzazgi, siwy włos mój spalcie!
Pryskaj płomieniu!
Ja was, żywioty, o dobroci brak nie winie.,
jam wam królestwa nie dał nigdy
...oto stoję
przed wami wasz niewolnik, biedny i słaby
bezsilny starzec! Przecież pomocnikami
zwę was służalczymi, że łączycie wasze
w górze zaczęte ataki przeciw takiej starej,
siwej jak moja, głowie.*

(Król Lear)

* * *

*...westchnął, twarz mu zbladła
i lez się zalał strumieniem,
i pocałował zwierciadło,
i cały stał się kamieniem.*

(Dziady)

U schyłku życia zapisał w swym dzienniczku:

Dzień każdy ma swe troski,

*A miesiąc dni trzydzieści.
Rachunek więc stąd prosty,
I rzec można pewnie,
Że najszczęśliwszy miesiąc
To luty.*

A luty miał dla Kanta już tylko dni dwanaście. Siódmego lutego – pisze Hasse – zaprosił nas po raz ostatni. Przyniesiono go do stołu, ale zaledwie przełknął łyżkę zupy, prosił, aby go odniesiono z powrotem do łóżka. Był to już tylko szkielet i wymęczone ciało opadło na łóżko jak w grób. Jedenastego wieczorem oczy miał szkliste i twarz spokojną.

Spytałem go – opowiada Wasiański – czy mnie poznaje. Nie odpowiedział, lecz wydał wargi jak do pocałunku. Chwyciło mnie głębokie wzruszenie. Nie widziałem, aby kiedykolwiek ucałował którego z przyjaciół. Raz tylko, na krótko przed śmiercią, uściskał swoją siostrę i mnie, ale nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Patrzyłem na ruch jego warg jak na pożegnanie przyjaźni: był to ostatni znak świadomości. Nadchodziły oznaki bliskiej śmierci. Około pierwszej nad ranem przyszedł jakby do siebie i mógł zbliżyć usta do szklanki, a że sił już nie miał, aby płyn w ustach utrzymać, zamknął je ręką i gdy przełknął, rzekł wyraźnie: es ist gut. Takie były jego ostatnie słowa. Członki były już zimne i tętno przerywane, o czwartej nad ranem tętno nie było już wyczuwalne ani w ręku, ani w nogach, ani w szyi. O dziesiątej twarz zmieniła się wyraźnie: oczy były osłupiałe i zgasłe, bladość śmiertelna odbarwiła twarz i wargi. Około jedenastej zbliżyła się chwila krytyczna. Siostra jego stała w nogach łóżka, siostrzeniec przy wezgielciu, a ja klęczałem obok, usiłując dostrzec jeszcze iskrę życia w oczach. Oddech stawał się coraz słabszy, zaledwie powiew lekki znać było na wargach.

Minęła godzina jedenasta. Gdyby Wasiański zbliżył do ust

Kanta otwartą kopertę zegarka, aby złowić na niej ostatnie tchnienie filozofa, ujrzałby w niezmaconej oddechem powierzchni jakby w lustrze odbite sklezione czoło, błękitne powieki, kościsty nos i zwiędłe wargi – twarz Emanuela Kanta.

Od Autora

Założenia artystyczne niniejszego szkicu zawarte są w tytule: *Portret Kanta*. Portret – założenia są więc natury malarskiej, a że żywot Kanta przysłowiowo był bezbarwny i monotony, wyłoniły się niemałe trudności, skoro *ex definitione* trzeba było starannie unikać wszelkich pozamalarskich elementów, takich jak analiza psychologiczna, interpretacja tekstu czy historyczny komentarz. Ambicją tego szkicu była transpozycja pojęć na wyobrażenia. Dlatego właśnie esej poprzedzony jest obszernym wstępem, w którym mowa jest o malarstwie. Malarskie założenia zdeterminowały nie tylko formę, ale i objętość szkicu, który z konieczności musiał być zwięzły, aby go można było, podobnie jak obraz, ogarnąć jednym spojrzeniem. Stąd również wynikły uporczywe nawroty kilku przewodnich motywów. Zadaniem tych reprzyz było skrócenie całości w pamięci czytelnika: utrzymanie w aktualnej świadomości motywów gasnących w czasie lektury. Dlatego też powraca w zakończeniu zdanie, które znalazło się na wstępie. Perseweracja tematów (okno, ruiny zamku, zielona firanka) miała również na celu uwypuklenie tragicznej monotonii żywota królewieckiego myśliciela. Te same ambicje malarskie kazały do przesady niemal operować grą światła i cieniów. Ale jakże inaczej— chcąc się utrzymać w ramach założeń – pokazać zanik poczucia rzeczywistości, który dręczył filozofa? Dlatego właśnie drzewa za oknem

porównane są do zacieków farby na wilgotnej jeszcze akwareli i Kant w lipowej alei podobny jest do „płaskich”, dwuwymiarowych rysunków egipskich.

Skoro o zaniku poczucia rzeczywistości mowa, warto może dorzucić kilka wyjaśnień. Neuropatia? Zapewne, w wątlym łożysku astenicznej budowy filozofa rysują się skomplikowane linie stłumionej psychonerwicy, łatwo uchwytniej w maniakalnej obrzędowości codziennego życia, w dziwactwach i niezłomnych nawykach. Psycholog z tomem klasycznego Janeta w rękę z łatwością by odnalazł w biografii Kanta szereg cech, które składają się na zjawisko tzw. psychastenii i bez trudu mógłby sformułować kliniczne nazwy dla kantowskich „krytyk”:

La perte de la fonction du reel – dla pierwszej, *l'amour exageré de l'honnetete* – dla drugiej, *les emotions sublimes* – dla trzeciej.

Mógłby nawet, idąc tropem Kalliklesa, dostrzec w kantowskim kulcie prawa wyraz słabości, która uchyla się od walki, aby uciec w cień miecza i wagi niewidomej bogini.

Zapewne... być może... ale tych właśnie dociekań chciałem uniknąć. I to nie tylko dlatego, że psychologiczna geneza dzieła nie wyznacza jego obiektywnej wartości; że filozoficzna i kulturalna wartość „krytyk” leży poza zasięgiem ciekawości psychologa – to jasne. Kierowała mną przede wszystkim potrzeba zachowania dystansu i taktu wobec jednego z największych myślicieli. Dlatego też w kulminacyjnych punktach, kiedy mowa jest o godzinach filozoficznych rozmyślań, odwołuję się do Szekspira. Za wszelką bowiem cenę starałem się uniknąć tej nieznośnej amikoszonerii, której nie mogą się wyrzec autorzy „psychologicznych biografii”.

A zresztą, jeśli Kant był neurotykiem, to był neurotykiem, który potrafił przewyciężyć swoją słabość. Wbrew pozorom nie był może nawet „dziwakiem”: „Dziwak – mawiał, uprzedzając jakby dociekliwość swoich biografów – małpuje tylko człowieka z charakterem”. To, co w życiu jego ma cechy tak zwanego dziwactwa, to tylko „odpadki”, to jakby „uboczny produkt” potężnej pracy wewnętrznej, której owocem są „krytyki”. Bo Kant był przede wszystkim „człowiekiem z charakterem”. Jakże się myli Janet kiedy pisze: „...quand on a vu beaucoup de scrupuleux, on en arrive a se demander avec tristesse si la speculation philosophique n'est pas une maladie de l'esprit humain”. Kiedy się widziało wielu psychiatrów, którzy nie uszli losu swych pacjentów, można byłoby (idąc fałszywym tropem Janeta) zapytać się ze smutkiem, czy i psychiatria przypadkiem *n'est pas une maladie de l'esprit humain*. Podobnie można byłoby „zdyskwalifikować” i odkrycie Ameryki, jako że Kolumb był paranoikiem.

Niemniej, osłabione poczucie rzeczywistości, które jest niejako ośrodkiem malarskich ambicji niniejszego szkicu, zasługuje na komentarz. Ale że Kant był metafizykiem, sięgniemy do metafizycznych uzasadnień. Jeśli dręczyło go osłabione poczucie rzeczywistości, to jak przystało na filozofa, cierpiał nad zanikiem świadomości *z a s a d*, na których wspiera się rzeczywistość. Kant nie był człowiekiem skłonny do zwierzeń, ale w zwierzeniach innego myśliciela (Th. Jouffroy) odnajdujemy dzieje „filozoficznego” zaniku poczucia rzeczywistości, które – jak się zdaje – rozjaśnić mogą interesujący nas problem. Jouffroy, szlachetny myśliciel, który w historii filozofii zasłużył sobie na *petitem* zaledwie odmierzoną notatkę, obok mniej lub więcej oryginalnych rozważań zostawił nam kilka przejmujących stron, godnych pióra Descartesa. Warto je tu zacytować:

Le jour était venu où, du sein de ce paisible édifice de la religion qui m'avait recueilli à ma naissance et à l'ombre duquel ma première jeunesse s'était écoulée, j'avais entendu le vent du doute, qui de toutes parts en battait les murs et l'ébranlait jusque dans ses fondements.

Je n'oublierai jamais la soirée de décembre où le voile qui me déroba à moi-même ma propre incrédulité fut déchiré. J'entends encore mes pas dans cette chambre étroite et nue, où longtemps après l'heure du sommeil j'avais continué de me promener; je vois encore cette lune, à demi voilée par les nuages qui en éclairaient par intervalles les froids carreaux. Les heures de la nuit s'écoulaient et je ne m'en apercevais pas; je suivais avec anxiété ma pensée qui de couche en couche descendait vers le fond de ma conscience, et, dissipant l'un après l'autre toutes les illusions qui m'en avaient jusque-là dérobé la vue, m'en rendait de moment en moment les détours plus visibles.

En vain je m'attachais à ces croyances dernières comme un naufragé aux débris de son navire; en vain, épouvanté du vide inconnu dans lequel fallais flotter, je me rejetais pour la dernière fois avec elles vers mon enfance, ma famille, mon pays, tout ce qui m'était cher et sacré; l'inflexible courant de ma pensée était plus fort: parents, famille, souvenirs, croyances, U m'obligeait à tout laisser, l'examen se poursuivait plus obstiné et plus sévère à mesure qu'il approchait du terme et il ne s'arrêta que quand il l'eut atteint. Je sus alors qu'au fond de moi-même il n'y avait plus rien qui fût debout. Ce moment fut affreux et, quand uersue matin je me jetais épuisé sur mon lit, ii me sembla sentir ma première vie, si riante et si pleine, s'éteindre, et derrière moi s'en ouvrir une autre sombre et dépeuplée, où désormais fallais vivre seul, seul avec ma fatale pensée qui venait de m'y exiler et que j'étais tenté de maudire. Les jours qui suivirent cette découverte furent les plus tristes de ma vie. Dire de quels mouvements ils furent agités serait trop long. Bien que mon intelligence ne considérât pas sans quelque orgueil son ouvrage, mon âme ne pouvait s'accommoder à un état si peu

fait pour la faiblesse humaine; par des retours violents elle cherchait à regagner les rivages qu'elle avait perdus; elle retrouvait dans la cendre de ses croyances passées des étincelles qui semblaient par intervalles rallumer la foi. Mais des convictions renversées par la raison ne peuvent se relever que par elle, et ces lueurs s'éteignaient bientôt.

I dalej:

C'étaient des journées, des nuits entières de méditations, dans ma chambre; c'était une concentration d'attention si exclusive et prolongée sur les faits intérieurs où je cherchais la ablution des questions que je perdais tout sentiment des choses du denorset que quand j'y rentrais pour boire et manger il me semblait que je sortais du monde des réalités et passais dans celui des illusions et des fantômes.

Związek, jaki we wspomnieniach Jouffroy zachodzi między utratą wiary a odwróconym, jeśli się tak można wyrazić, poczuciem rzeczywistości, tak jest oczywisty, że nie warto go było podkreślać rozstrzelonym drukiem.

Racjonalista Jachmann zapewnia, że Kant był prawdziwym „wielbicielem Boga” (*ein Gottesverehrer*). Inaczej go widział Borowski, który mówi o utraconej wierze młodych lat. Tyle o tym pisano. Rozważano często uczciwie, często ze złą wolą treść jego pism i zestawiano wypowiedzi przyjaciół, ale jeśli się rozpatrzy styl Kanta, to nie sposób odmówić słuszności literackiej ekspertyzie Heinego.

Wystarczy – pisze Heine – usłyszeć sposobem Kanta prowadzone rozważania o istnieniu Boga, aby się doznało szczególnego uczucia, którego doświadczyłem kiedyś w Londynie, w New Beddlam, kiedy dostrzegłem, że opuścił mnie mój przewodnik i że jestem sam w gromadzie szaleńców... Czy podobało mu się przeżuwać dowody egzystencji Bożej

pokazać, jak smutno jest nie wiedzieć o Bogu? Podobny był jednemu z mych przyjaciół z Getyngi, który po sumiennym rozbiciu wszystkich lamp w ciemnej ulicy Grohud, rozprawiał długo o użyteczności światła, aby naocznie uzasadnić naszą bezradność.

Kto wie, czy w zwierzeniach Jouffroy nie odnajdujemy zarysów zamilczanego przez Kanta dramatu? Może w wiecznie przesłoniętych oknach sypialnego pokoju szczęknęły okiennice targnięte „wiatrem zwątpienia”, który wydymając żagiel zielonej firanki unosił wielkiego samotnika na ciemne rozlewiska nieobrzeżone nieznanym nawet ładem. Przerażliwa samotność! „Raz Boga niet tak kakojże ja i generał” – obruszył się nie bez racji jeden z bohaterów Dostojewskiego.

Z zagadnieniami osłabionego poczucia rzeczywistości wiąże się drugi naczelny problem szkicu: problem władzy.

Więc jeszcze kilka słów: Kant zorganizował życie swoje tak, aby w najmniejszym stopniu stykać się z rzeczywistością, aby móc kierować tempem swego życia, jak Galileusz, który wyznaczył szybkość kuli stoczonyj po równi pochyłej. Starał się unikać wszelkich kolizji z rzeczywistością, aby nie zburzyć kunsztownej struktury życia i systemu. Chciał nadać swemu życiu ten sam ład, który narzucił „bezpańskiemu” światu: mgłę, wiatrom, drzewom i chmurom. Zapewne, Kant wiedział, że nie jest panem deszczu i wiatru, który targał wiecznie zamkniętymi okiennicami sypialni, i wiedział, że nie kieruje obrotami nieba nad Królewcem. Zapewne, ale – tym razem psychologicznie rzecz ujmując (podkreślam: psychologicznie), skoro sprowadził kształt i rozwój świata do wielorakich form podmiotu, to w głębi duszy, podświadomie, nie mógł nie cierpieć nad nieprzewidzianym – w potocznym, życiowym sensie – układem zjawisk. Dlatego uschematyzował i ułożył tryb codziennego życia tak, aby

żaden nieprzewidziany wypadek nie zburzył z góry ułożonej kolejności zdarzeń. Dlatego niepokoił go rozrost drzew za oknem i dlatego dręczony nocnymi koszmarami zanotował: wystrzegać się złych snów. „Wystrzegać się złych snów” – to tak, jakby się powiedziało topoli: „uschnij”, a chmurze: „rozpuść się”. Trzeba być zupełnie pozbawionym psychologicznego wycucia, aby w tej „ku pamięci” zapisanej notatce nie dostrzec żądy władzy, która chciałaby regulować obroty ciał niebieskich i wykreślać linie lotu jaskółkom. I dlatego życie Kanta było prawdziwym dramatem: za dnia nie panował nad światem zewnętrznym – w nocy nie był panem własnych wyobrażeń. W chaosie rozprzężonych wyobrażeń był sam i samotny widział za oknem niepojęte cienie – powiewające ramiona drzew.

Inna rzecz przyjąć kantyzm w zakresie pojęć, inna rzecz uczuciowo zżyć się z kantyzmem. Inaczej współżyjemy z Kantem przy lekturze *Krytyki władzy sądowniczej*, inaczej na spacerze, kiedy nie myślimy o kategoriach, ale o zielonych stokach wzgórz i połyskujących skrętach Izery. Nieuchwytnie zabarwiająca tło uczuciowe świadomość tego, że nadajemy oto drzewom zasadę ich egzystencji i że jesteśmy prawodawcami świata, odbitego w skrętach rzekł, daje tę szczególną radość, której w Molierowskiej karykaturze doświadczył pan Jourdain, gdy dowiedział się, że włada prozą. Nie bez głębokiej racji Freud, mówiąc o podświadomości, odwołuje się do Kantowskiej „rzeczy samej w sobie”.

Człowiek, twórca rzeczywistości zjawiskowej, z reguły odnajduje w sobie – podobnie jak Schopenhauer – tajemniczą *Ding an sich*, a leżąca pod nogami dolina Izery, połyskujące skręty rzeki, obłoki i góry – to świat nie tylko zorganizowany, lecz i stworzony przez człowieka.

I dlatego tak trudno uwolnić się od pokus kantyzmu, jeśli

się już raz spojrzęło na świat oczyma Kanta, a nie świętego Franciszka. Na stronicach *Krytyki* krążą znaki zodiaku, krążą blaski i cienie; drzewa rosną, obłoki płyną i wody – poza ekranem schną łożyska rzek i próchnieją drzewa: rzeczywistość skazana jest na śmierć. A on zagłębiony w fotelu patrzy na ruiny zamku królewieckiego, na smukłe topole, na bezładne obłoki: wie, że gasną światła, że rozsypują się ruiny królewieckiego zamku i schną topole – wie, że zostały tylko jego dłonie pomnożone przez dłonie tych, którzy przewracają stronice *Krytyki czystego rozumu*. Suche, starcze dłonie zasłaniają świat zieloną jedwabną firanką, zawieszoną nad oknem skromnego gabinetu.

Bouqueron 15 XII 1941 r.

Bolesław Miciński
Portret Kanta

Redakcja:
Hanna Milewska

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2014

Warszawa 2014

ISBN 978-83-7904-231-9

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE
www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl